# Z Krakowa do Toronto czyli teatr dla emigranta



Scenografia Joanny Dąbrowskiej do sztuki Kazimierza Brauna „Promieniowanie” o Marii Skłodowskiej-Curie, fot. Yarek

Dąbrowski.

**Izabela Joanna Barry (USA)**

Z jakiegoś powodu, którego wyjaśniać tu nie ma potrzeby, przeciętny Polak w Polsce nie ma zbyt wysokiego mniemania o rodaku, który kiedyś podjął wyzwanie losu, opuścił swoją ojczyznę i wyruszył na podbój nowego świata. Najczęściej – o ile w ogóle o nim mówi – nazywa go, dość protekcjonalnie, by nie rzec – pogardliwie – Polonusem. Życie owego „Polonusa" także nie jest przedmiotem specjalnego zainteresowania, chyba że chodzi o coraz częstsze głosy domagające się odebrania Polakom mieszkającym za granicą prawa głosowania w wyborach. Ta, dość marna trzeba powiedzieć opinia, niestety, nie ulega zmianie, nie wyprostowuje się i – co więcej – nie oddaje sprawiedliwości ogromnej rzeszy polskich emigrantów; nie zauważa i nie docenia pracy, wytrwałości i talentów, z których emigranci – pokonując trudności nieznane i często trudne do wyobrażenia – potrafili zrobić użytek daleko od swojego kraju.

Dlatego niezwykle dobrze się stało, że powstała książka, która nie tylko broni dobrego imienia polskiego emigranta, ale także opisuje szczegółowo pewien fenomen, którego rola i wartość są nie do przeceniania: Salon Poezji, Muzyki i Teatru w Toronto, czyli teatr stworzony, zbudowany od zera przez Marię

Nowotarską, aktorkę Teatru im. Juliusza Słowackiego w Krakowie.

Joanna Sokołowska Gwizdka, autorka książki *Teatr spełnionych nadziei. Kartki z życia emigracyjnej sceny* przekazuje czytelnikowi historię niezwykłą – historię pasji, wytrwałości, samozaparcia, a także jakiegoś niezwykłego zbiegu okoliczności, który także pozwolił na to, by szaleńczy pomysł Nowotarskiej zmienił się w rzeczywistość. Bo doprawdy, los musiał jej sprzyjać, skoro w obcym dla niej mieście, kraju nagle znalazło się tak wielu ludzi skłonnych przyłożyć się do niezwykłego sukcesu Salonu.

Ale od początku… Historia powstania tego teatru brzmi zaskakująco: młoda aktorka, Agata Pilitowska, postanawia opuścić Polskę i wyjechać do Kanady. Ma trójkę małych dzieci, a jej życie składa się nie tylko z zabiegania o dobre role i grania na scenie i w filmie, czyli robienia tego, do czego przygotowała ją szkoła, ale także, a może przede wszystkim, z walki o kawałek sera, mięsa czy czekolady. Zmęczona beznadziejną sytuacją Agata podejmuje decyzję wyjazdu – tak daleko jak tylko można – do Kanady. Nie jest pierwsza – w tym czasie, w latach 80. XX w. Polskę opuściło kilkaset tysięcy ludzi. Nie wiemy, czy Agata zdawała sobie w tym momencie sprawę z tego, że zapewne będzie musiała zrezygnować z zawodu, nauczyć się czegoś nowego i diametralnie zmienić swoje życie. Tak czy inaczej,

opuściła Polskę i znalazła się najpierw w Montrealu, by wkrótce przenieść się do Toronto. Tymczasem w Polsce zostali rodzice – Maria Nowotarska, świetna krakowska aktorka i jej mąż, Jerzy Pilitowski, architekt. Bardzo szybko tęsknota za córką i wnukami skłania ich do wizyty w Kanadzie. Wkrótce podejmują decyzję pozostania w Kanadzie na stałe. Decyzja ta, z jednej strony fantastyczna, bo podyktowana najpiękniejszymi uczuciami – miłością, tęsknotą i troską, z drugiej może wydawać się zupełnie niezrozumiała. Oznaczała bowiem zmianę całego życia, rezygnację – najpewniej – z zawodu, z kariery, porzucenie środowiska, przyjaciół, domu. A jednak.

Pierwszy rok pobytu Marii i Jerzego w Toronto to przyzwyczajanie się do nowych warunków, ale przede wszystkim pomoc zapracowanej Agacie. Ale przecież w jakiejś chwili pojawia się potrzeba minimalnego choćby powrotu do dawnych zajęć. Maria Nowotarska wspomina, że na jakimś przyjęciu towarzyskim powiedziała wiersz Tetmajera „Jak Janosik tańczył z cesarzową". Goście nie dość, że słuchali w milczeniu to jeszcze zareagowali z entuzjazmem i poprosili o więcej.  Tu właśnie zaczyna się historia tego niezwykłego teatru, opartego na pomyśle Marii Nowotarskiej i Jerzego Pilitowskiego, teatru bez ścian, bez własnego miejsca, teatru ubogiego, samowystarczalnego, posiłkującego się talentami i pracą często przypadkowych ludzi, którzy nigdy przedtem z teatrem nie byli związani  i – rzecz jasna – czerpiącego z polskiej tradycji

teatralnej. Czytelnik znajdzie tu fascynujący, żywy zapis działalności 22 lat sceny torontońskiej.

Joanna Sokołowska-Gwizdka postanowiła skonstruować swoją książkę nie tyle chronologicznie, ile tematycznie. Zbierając materiały uporządkowała działalność Salonu Poezji, Muzyki i Teatru według rodzaju artystycznych przedsięwzięć dzieląc wszystkie zrealizowane projekty na kilka działów – przedstawienia poetyckie, muzyczne, historyczne, kabaretowe. Nie mogło zabraknąć rozdziału poświęconego wystawianym przez Salon sztukom Kazimierza Brauna,  a poświęconym kobietom. Emigrantki – Modrzejewska, Łempicka, Maria Curie, Pola Negri stały się tematem dramatów napisanych specjalnie dla Marii Nowotarskiej i Agaty Pilitowskiej, która po początkowym okresie sceptycznego podejścia do pomysłu matki, zaangażowała się w tę teatralną pracę bez reszty. Ważną sztuką był tu także *American Dream*, którego bohaterkami są dwie aktorki, matka i córka, emigrantki, które próbują wrócić do zawodu. Tę sztukę reżyserował sam autor, Kazimierz Braun, ongiś dyrektor wrocławskiego Teatru Współczesnego, wyrzucony z pracy w 1984 roku po wystawieniu *Dżumy* według Alberta Camusa. Braun znalazł się w połowie lat 80. w Buffalo, gdzie podjął pracę na miejscowym uniwersytecie.




Wracając do książki – zadziwia i budzi szacunek skrupulatność autorki. Joanna Sokołowska wykonała mrówczą pracę gromadząc i porządkując fakty, przeprowadzając wielogodzinne rozmowy z bohaterami tej książki. Są to przede wszystkim rozmowy z Marią Nowotarską, przeprowadzane w Toronto, ale także w New Jersey, gdzie po jakimś czasie przeniosła się autorka. Ale też są to wielogodzinne rozmowy z dziesiątkami osób, które wiązały się z torontońską sceną bądź na chwilę – jak gościnnie występujący aktorzy z Polski (Krzysztof Kolberger, Jerzy Zelnik, Andrzej Grabowski) bądź na dłużej – jak na przykład Kinga Mitrowska – urodzona, wychowana i wykształcona w Kanadzie śpiewaczka.

Owa skrupulatność autorki może na początku budzić obawy, czy książka nie będzie zbyt drobiazgowo opowiadała historii teatru i czy w związku z tym nie okaże się nużąca dla kogoś spoza

środowiska czy też dla teatralnego laika. Nic bardziej mylnego. Sokołowska w bardzo przemyślany sposób przeplata fakty z rozmowami już to z główną bohaterką książki – Marią Nowotarską, już to z Agatą Pilitowską, już to z innymi osobami, które przez teatr się przewinęły. Uzupełnia swoją relację listami, choćby Kazimierza Brauna, zapiskami dziennika nieżyjącego już Jerzego Pilitowskiego, recenzjami z prasy, wreszcie własnymi refleksjami, bo przecież sama brała udział w Salonie, najpierw jako sceptyczny widz, potem już jako wierna przyjaciółka teatru i recenzentka,  a także współautorka jednej z wystawianych sztuk.

I tu należy wspomnieć o jeszcze jednej warstwie *Teatru spełnionych nadziei*: to książka niesłychanie osobista, zarówno jeśli chodzi o bohaterkę, Marię Nowotarską i jej rodzinę, jak też i o samą autorkę – Joannę Sokołowską. Wspomnienia nie ograniczają się jedynie do pracy, kolejnych premier i sukcesów, ale w naturalny sposób mówią także o kłopotach rodzinnych, problemach finansowych, chorobach, zmęczeniu – jednym słowem o życiu tej teatralnej rodziny, która w Toronto powiększyła się o aktorów, scenografów, muzyków, projektantów kostiumów, artystów grafików itd., itd. Nie ma wątpliwości, że specyficzny ton autorki, ciepła emocjonalna narracja nadaje książce dodatkowej wartości – czyni ją jeszcze ciekawszą i wciągającą.

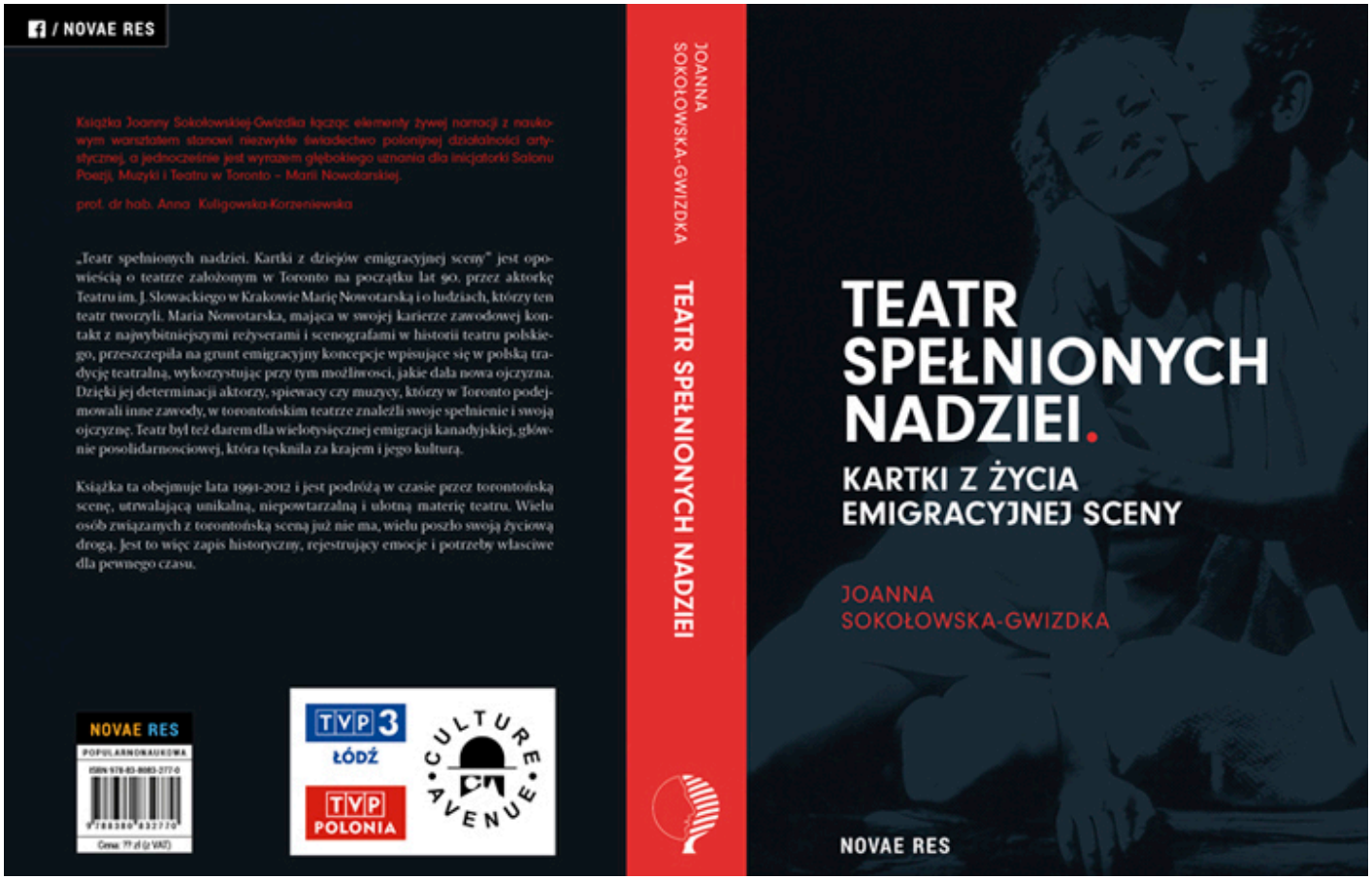
Sokołowska nie zaniedbała żadnego szczegółu – wiemy, gdzie

odbywały się próby, w jakich okolicznościach spotykali się aktorzy i autorzy, kto projektował kostiumy, kto je szył, ile było rocznie premier, jakie inne działania, oprócz teatralnych podejmowano, ile podróży odbyły Nowotarska i Pilitowska, w jakich miastach świata je oklaskiwano, kto im pomagał i jaką rolę odegrała trójka wnucząt, które przez te wszystkie lata dorosły. Dostajemy pełny obraz unikatowego przedsięwzięcia, które powstało z pasji i miłości do słowa, do literatury polskiej i do tradycji polskiego teatru.  Ale dostajemy także ciekawą i zapewne dla niektórych zaskakującą relację z życia emigracji polskiej. Emigracji, która postarała się o to, by jej życie nie było pozbawione polskiego teatru, która potrafiła skutecznie zadbać o swoje życie kulturalne i o to, by miało ono profesjonalny wymiar i stało na najwyższym poziomie.

I na koniec nie można nie wspomnieć o znakomicie przygotowanym opracowaniu źródeł, przypisów, szczegółowej bibliografii. *Teatr spełnionych nadziei* to niezwykle wartościowa pozycja i znakomity przyczynek do historii polskiego teatru.

*Recenzja ukazała się w „Pamiętniku Literackim” , Tom LIII, wydawanym przez Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie, czerwiec 2017 r., Londyn.*

# Joanna Sokołowska-Gwizdka: Teatr spełnionych nadziei. Kartki z życia emigracyjnej sceny. Novae Res, 2016.






Joanna Sokołowska-Gwizdka podpisuje książkę na Targach Książki w Warszawie, maj 2017 r.

# Sztuka – język bez słów

**Rozmowa z Barbarą Maryańską, malarką, kuratorką wystaw.**



Barbara Maryańska

**Joanna Sokołowska-Gwizdka:** Studiowała Pani w Warszawie, Gdańsku i Paryżu, ma Pani na swoim koncie niezliczoną ilość wystaw indywidualnych i zbiorowych na całym świecie, pani

obrazy znajdują się w stałych kolekcjach muzealnych, m.in. Uniwersytetu Harvarda czy Muzeum Narodowego w Gdańsku, a także w prywatnych zbiorach od Ameryki, przez Europę po Japonię. Czy są miejsca szczególnie pani bliskie pod względem artystycznym?

**Barbara Maryańska:** Dużo podróżuję, bo taka jest natura mojej pracy, no i oczywiście mam wielką ciekawość świata. Wszystkie moje wrażenia, odczucia i obserwacje przetwarzam na motywy malarskie, nad którymi pracuję po powrocie w moim studiu, przywożąc masę szkiców i zdjęć. Na ogół musi upłynąć trochę czasu, aby takie przetworzenia mogły się narodzić. Wszystko musi niejako „przejść przeze mnie" zanim podejmę się pracy nad nowym płótnem. Są takie miejsca, które mnie inspirują do malarstwa oraz takie, w których moje obrazy są dobrze odbierane. Spotkania z miłośnikami sztuki są dla mnie bardzo ważne. Lubię słuchać, co ludzie mówią o moich obrazach, jak je odczuwają. Uwielbiam odwiedzać piękne miejsca na świecie i spotykać ciekawych ludzi. Lubię Sedonę w Arizonie za jej niepowtarzalne czerwone skały, Jaipur w Indiach za jego miedziany koloryt pięknej architektury, kocham Sarasotę na Florydzie za jej szmaragdową Zatokę Meksykańską i cudowny zapach kwiatów, Hudson Valley za piękne góry i rzekę, które są ze sobą nierozerwalnie połączone. Kocham Kraków i jego atmosferę, zmuszającą wręcz do bycia artystą, kocham też odwiedzać moją Akademię Sztuk Pięknych w Warszawie i w

Gdańsku i cieszyć się energią twórczą młodych ludzi. Jestem zauroczona pięknem Strasburga, gdzie miałam w zeszłym roku wystawę indywidualną w Galerii Rady Zjednoczonej Europy, i jego wspaniałą katedrą inspirującą do głębokich rozmyślań.

**JSG:** Czego poszukuje pani w sztuce i co chce pani przez nią wyrazić?

**BM:** Moim głównym przekazem jest potrzeba ochrony piękna. Piękna przyrody, uczuć, piękna ludzi i miejsc. Spokój jest piękny. Ciągle go pragniemy. Moje malarstwo dostarcza więc spokoju, którego ludzie poszukują. Moim przekazem jest również medytacja. W medytacji można odnaleźć równowagę i zadowolenie. Unikam niepokoju i dramatu, którego życie dostarcza nam w nadmiarze. Maluję swój świat, który stwarzam w życiu i w sztuce.

**JSG:** Czym dla pani jest rola kuratorki wystaw?

**BM:** Ta praca daje mi nieodpartą radość i satysfakcję z promowania dobrej – według mnie – i ciekawej sztuki, na którą chciałabym, żeby ludzie zwrócili uwagę. Lubię odkrywać nowe talenty, lubię konfrontować sztukę artystów z różnych środowisk twórczych i kultur. Wystawa to jest oddzielna, nowa kompozycja złożona z wielu dzieł sztuki. Ciekawe są dla mnie zestawienia różnych mediów i stylów. Sztuka żyje tylko wtedy, kiedy się ją

ogląda. Jeśli np. jakiś zdolny malarz trzyma swoje obrazy za szafą, to one nie żyją, nie istnieją, bo nikt ich nie widzi.

**JSG:** Jaka jest specyfika środowiska artystycznego w Nowym Jorku?

**BM:** Są to bardzo różne środowiska. Wielokulturowość rodzi wielowymiarowość i wielorakość. Dlatego stwarzam możliwość spotkań różnych kultur z różnych krajów m.in. w galerii New Century Artists Gallery w Nowm Jorku.

**JSG:** Dlaczego wraz z mężem, poetą Markiem Bieńkowskim zdecydowali się państwo na emigrację?

**BM:** Jesteśmy emigracją stanu wojennego w Polsce. Wybraliśmy Nowy Jork i Nowy Jork wybrał nas. Ja otrzymałam stypendium Fundacji Kościuszkowskiej zaraz po przyjeździe i tak już zostało... Przez długie lata mieszkaliśmy w Nowym Jorku, ale prawdziwą inspiracją dla moich obrazów stała się dopiero Hudson Valley. Tutaj też znalazłam swoje miejsce w kontynuacji malarstwa Hudson River School of Art w czysto osobistej i współczesnej formie, którą nazywam krajobrazem abstrakcyjnym.

**JSG:** Jakie w USA były początki pani pracy w zawodzie?

**BM:** Na początku współpracowałam z nieżyjącą już, znaną artystką Michelle Lester, która miała studio na 17 St. przy Union Square. Związałam się też wtedy z grupą Polish American Artists Society i wystawiałam z tą grupą w Nowym Jorku i na Long Island. Współpracowałam także z kilkoma galeriami na East Village. W tym czasie wychowywaliśmy syna, który dziś jest inżynierem programistą w Silicon Valley. Wystawiałam i organizowałam wystawy w Tivoli, NY, Catskill, Hudson, Athens i Albany, NY. W Beacon, NY zorganizowałam międzynarodową i ogólnoamerykańską wystawę sztuki kobiet „The World of Artists" w Howland Cultural Center. Od kilku lat coraz więcej energii poświęcam na organizowanie wystaw w Nowym Jorku.

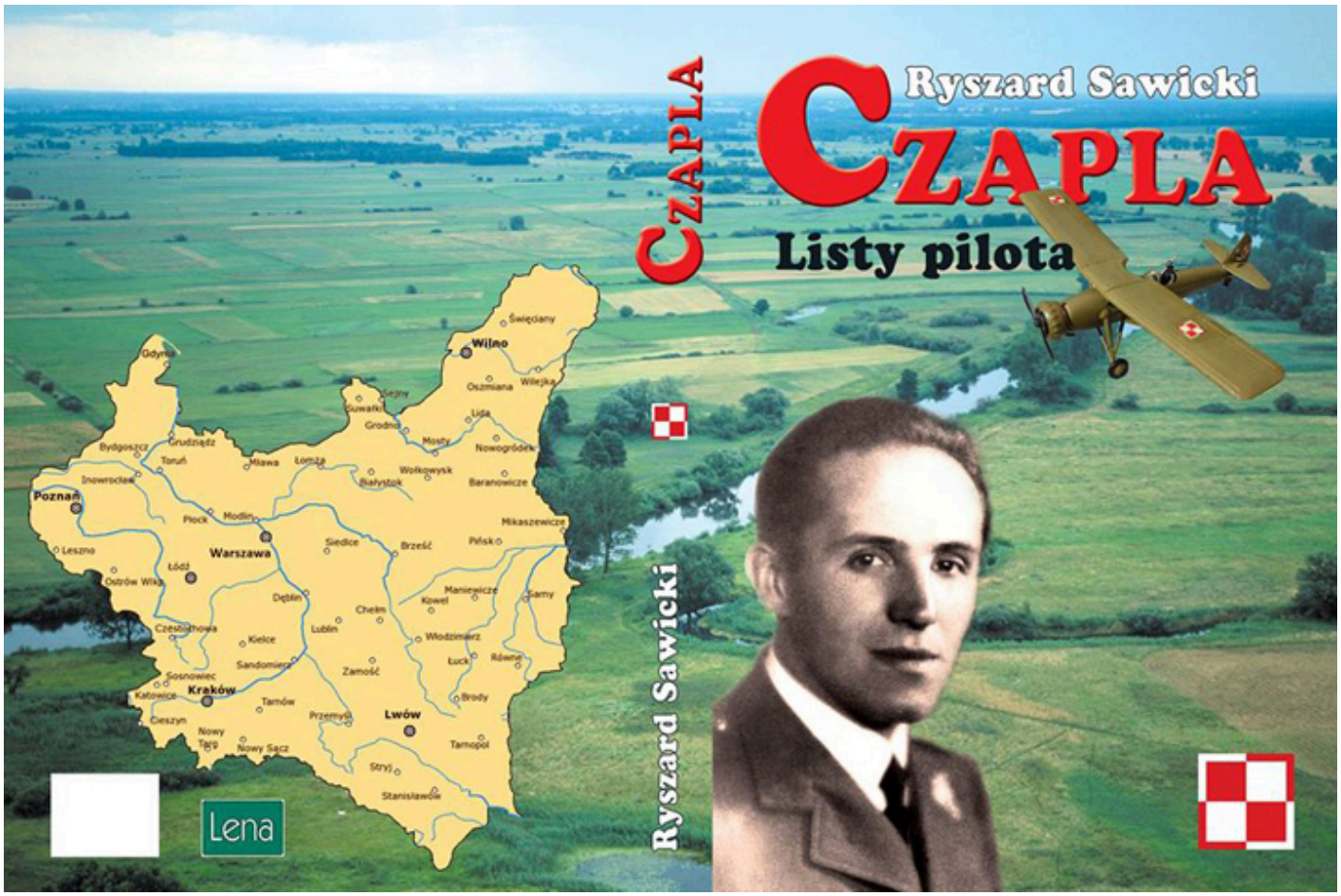
**Więcej informacji o artystce: www.bashamaryanska.com**

---

# „Czapla. Listy pilota"

# – najnowsza książka Ryszarda Sawickiego.

**Ryszard Sawicki, „Czapla. Listy pilota”, wyd. Lena, 2017, Wrocław, s. 355,** **info@wydawnictwo-lena.pl**



**Zbigniew Lubicz-Miszewski**

Bohaterem książki jest p. por. Tadeusz Sawicki, który był obserwatorem w trzydziestej trzeciej eskadrze armii „Poznań". Piątego września 1939 roku nie powrócił z lotu zwiadowczego w rejon Poddębic nad Wartą. Z pożogi wojennej ocalało około stu jego listów. Są to listy do rodziców, rodzeństwa i przyjaciół zamieszkałych we Lwowie. Szczególnie dużo listów zachowało się z okresu pobytu Tadeusza w szkole lotniczej w Dęblinie.

Tadeusz w listach nie tylko opisywał swoje życie, ale barwnie przedstawiał krajobrazy, wydarzenia i swoje lotnicze fascynacje. Na podstawie tych listów, przedwojennych notatek prasowych i wielu ocalałych zdjęć z archiwum rodzinnego, Ryszard Sawicki – bratanek Tadeusza – nakreślił jego sylwetkę – bystrego obserwatora oraz inteligentnego epistolografa, lotnika, zapalonego turysty, człowieka silnie związanego ze swoją rodziną, Polaka zakochanego w rodzinnym Lwowie. W 2016 roku, po 77 latach od tragicznych zdarzeń, archeolodzy znaleźli szczątki samolotu Tadeusza Sawickiego, a także jego ryngraf, który cudem przetrwał w ziemi – w miejscu upadku samolotu.

**Ryszard Sawicki**, absolwent Uniwersytetu Wrocławskiego, ukończył bibliotekoznawstwo. W latach 1977-1994 mieszkał i pracował w Stanach Zjednoczonych. Artysta, pisarz, nauczyciel akademicki, tłumacz, uczestnik wielu wystaw indywidualnych i

grupowych w Stanach Zjednoczonych, Europie i Azji.

## „Czapla. Listy pilota”
– rozdziały

**Rozdział pierwszy (lata 1929-1934)**
Rowerem do Tarnopola. Przez most na Serecie do Czortkowa jedziemy w ulewnym deszczu. W Kopyczyńcach jest ładna panna. Dowiedziałem się z radia o locie Idzikowskiego i Kubali. Widziałem czaplę, a potem trzy inne lecące nad jeziorem. W środę jedziemy do Truskawca, w czwartek na Urycz. Kąpiel w Serecie. Połów pstrągów. Kajakiem po Dniestrze. Jesteśmy w Haliczu, a gdyby nie słota, bylibyśmy w Niżniowie. Na nartach przez Muńcoł do Zwardonia, zjazd do Żywca. Praca w lesie. Związek Czterech Patałachów. Praca w tartaku.

**Rozdział drugi (rok 1935)**
Studia na Politechnice Lwowskiej. Służba w piechocie. Na pomiarze pod Magurką: widoczność nieograniczona aż po Śląsk i Kraków. Film „Bengali” w kinie „Lotnik”. Ze skoków bardzo dobry. Na nartach w Czarnohorze. Generał Zaruski. Bal w Warszawie: na sali balowej mnóstwo ładnych twarzy. Zamelduje się pan w Szkole Podchorążych w Dęblinie 3 stycznia 1936 roku najpóźniej o godzinie 8 rano.

**Rozdział trzeci (rok 1936)**
Druga eskadra. Kawaleria lądowa i powietrzna. Egzaminy na

Politechnice. Zostałem kierownikiem sekcji tenisowej. Wiśnia japońska kwitnie za oknem pokoju. Dostaliśmy ekwipunek lotniczy, zaczynają się loty. Ziemia podobna do mapy. Próbny lot pasażerski z instruktorem. Maj – śpiewają słowiki. Fotografie ze szkoły. Pierwszy lot nad Wisłą. Pułk manewrowy koło Rembertowa. Forsowne marsze. Defilada w Warszawie. Nareszcie jesteśmy sobą – czyli lotnikami. Zaczynam kochać szkołę. Samodzielne loty. Zaufanie do samolotu. Zawody pływackie. Warunki na RWD. Imieniny: „Lataj wysoko i nigdy nie spadaj". Święta w Wiszence.

**Rozdział czwarty (rok 1937)**

Patrzę z góry na świat. Pierwsze zdjęcia z lotu. Siostra na filmie o lotnikach, wzruszona – płacze. Wiślane mielizny, błyszcząca woda. Szyją nam nowe mundury. W komisji mundurowej. Lekcje tańca. Walki powietrzne. Kiedy będę dostawał wynagrodzenie – spłacę długi. Warszawskie muzea. Spacery po Warszawie. Kajakiem po Wiśle. Przyjeżdżam do Lwowa, wszystko opowiem w domu. Latałem do Sandomierza. RWD 13 – śliczna limuzyna. Biała czasza spadochronu. Licytacja w powietrzu. Z gitarą w pociągu. Przedstawienie na akademii w Warszawie. Napisałem słowa piosenki.

**Rozdział piąty (rok 1938)**

Piękna nieznajoma w pociągu do Warszawy. Z wędrówek po Tatrach. Kurs narciarski. Panna Asia: środowisko artystyczne

Warszawy. Zbiorowa pętla w powietrzu. Sok brzozowy z lasu. Loty na radio. Loty nad chmurami. Zaczynamy żyć w powietrzu. Ucałować kwiaty. Zorza. Szkoła ognia. Operetka we Lwowie. Czuję się w powietrzu doskonale. Odwiedzam chorych kolegów. Kłopoty z aparatem fotograficznym. Lot nad jezioro Świteź. Polesie zaczyna mnie fascynować. Noc wenecka. Śmierć przyjaciela. Latam na Karasiu. Egzaminy. Uroczystości promocyjne. Obejmuję regularną służbę w Poznaniu. Mieszkanie przy Śniadeckich, potem przy Reja. Coraz większy porządek.

**Rozdział szósty (rok 1939)**

Dolina Chochołowska. Zawody narciarskie w Zakopanem. Planuję wyjazd do Paryża. Teatry warszawskie. Kiedy zaczniemy budowę wielkiego lotnictwa? Spotkanie z czeskim emigrantem. Warta wygląda wspaniale. Poznałem dwie Amerykanki. Spotkanie w poznańskiej palmiarni. Na spacery w mieście chodzę w nowym, szarym garniturze. W jesieni kupię nowy płaszcz. Kwitną drzewa morelowe. Zostałem sekretarzem zarządu kasyna. Nocne loty. Ćwiczyłem język francuski w konwersacji z córką attache rumuńskiego. Lwów daleko od frontu. Koledzy na manewrach. Ostatni list z 27 sierpnia: chodzimy po mieście, pożegnania w restauracjach między zakochanymi parami, zaproszenie dla brata. lotnika.

# Ewa Kołacz. Fazy światła.



Ewa Kołacz, malarka i poetka z Kanady

**John K. Grande**

Adeptka sztuki lalkarskiej i poetka Ewa Kołacz (Eva Kolacz) maluje od 1981 roku. Sztukę wizualną artystki wyróżnia ciągłość emocjonalna malarskiego gestu, który bezpośrednio przekłada uczucia na język światła i barw. Jej malarstwo składa się z elementów, które się oddalają, by się zatrzymać i w rezonansie tworzyć przestrzeń podtrzymującą ciągłość ludzkich emocji. (…)

Każdy obraz Ewy Kołacz powstaje na przestrzeni czasu i choć zdaje się on istnieć w konkretnym miejscu, jest to jedynie świat malarski, gdzie każdy scenariusz inspirowany jest emocjami, malowany kolorem i tworzony przez światło. Jej malarstwo wyróżnia bezpośredniość interpretacji. Emocje stają się pejzażem, a wnętrze ulega ciągłej transformacji. Obrazy te są odzewem na potrzeby serca, a powierzchnia obrazu jest określeniem tożsamości zawierającej w sobie miejsca, atmosferę, zmiany i nieskończoność. To wszystko z godnym podziwu wyczuciem koloru. Nie jest łatwo stworzyć dramatyczne i jednocześnie skromne obrazy, aby mogły wyrazić wrażliwość natury ludzkiej. Obrazy istnieją na powierzchni, która staje się głębią światła, kształtującą formę. Są przypowieściami o ludzkim doświadczeniu. (…)

Rzut optyczny w obrazach może być wertykalny lub horyzontalny, podkreślany intensywnym rozproszeniem i

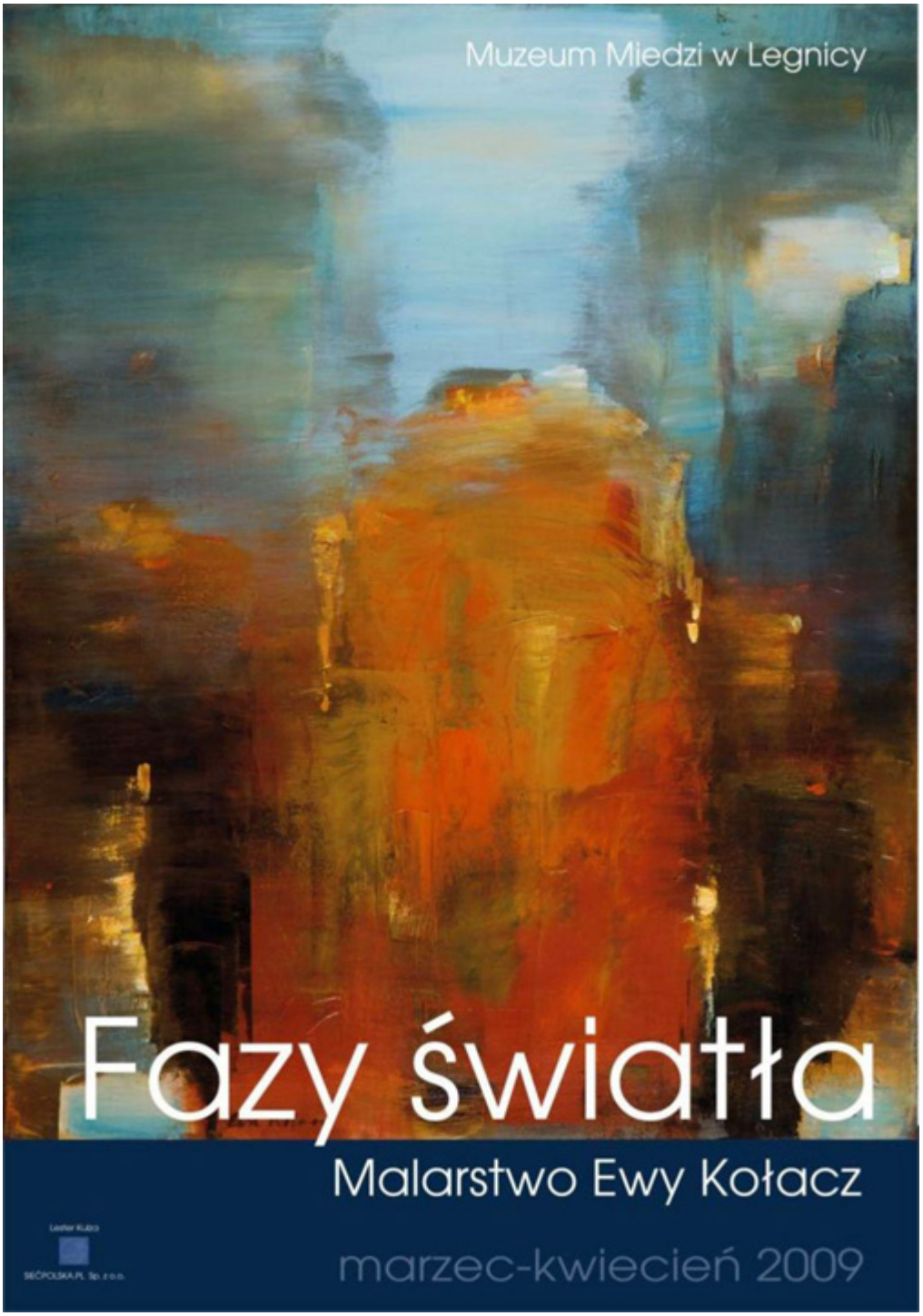
odbiciem, a niekiedy gęstością atmosfery. Każdy z obrazów posiada serię fraz wizualnych, gdzie gest nakłada się na kolejne warstwy obrazu. (…)

Obdarzona wrodzonym zmysłem abstrakcyjnego procesu twórczego, porównywalnym do angielskiego malarza Ivona Hitchens'a, Ewa Kołacz kieruje nas drogami, prowadzonymi przez pędzel.  Ten podświadomy proces malowania jest podobny do filmu, ani nie jest  nierozwinięty, ani mechaniczny. W przeciwieństwie do malarza techniki automatycznej, Ewa Kołacz podąża za przemyślaną wizualną formą faktur, niczym myśliciel rozkoszujący się malarskością chwili. Teatralność momentu powołuje do życia rzeczywistość wynikłą z procesu twórczego. Jest to podświadomy proces, który kwestionuje własne doświadczenia i metodę pracy. W ten sposób Ewa Kołacz rozwija swój język malarski, wychodząc poza dogmaty modernistyczne, które charakteryzują się stylistyczną zuchwałością, ograniczając swobodę artysty, podążając za maksymami, dyktatami i paradygmatami epoki. Ewa Kołacz ma wyczucie momentu i jego aparycji. Odnajduje formę w procesie malowania. Te formy wyrażają kruchość i ciągłość zmian, w którym bierzemy udział przez chwile. Obcowanie z jej obrazami równa się zagłębieniu w spokojną przestrzeń pełnej syntetyzującej i wibrującej głębi, pól atmosferycznych skąpanych w świetle, (…)

Ewa Kołacz prezentuje wszechświat jako proces, a malarstwo

jako nieustająco przekształcający się świat, który będąc stałym, jednocześnie się przeobraża. (…) Malarstwo Ewy Kołacz powstało z wielkiej pasji. Jak sama artystka mówi: „Kiedy masz pasję, nie zastanawiasz się, w jaki sposób inni odbierają twoje malarstwo”.

**Ewa Kołacz**




*Wciąż są we mnie*

*brzegi*

*cichego lata*

*i złote drgania*

*wody*

*owinięte wokół stóp*

*wszystko*

*zapisane*

*momenty*

*płyną*

*spokojną strugą*

*między jednym dniem*

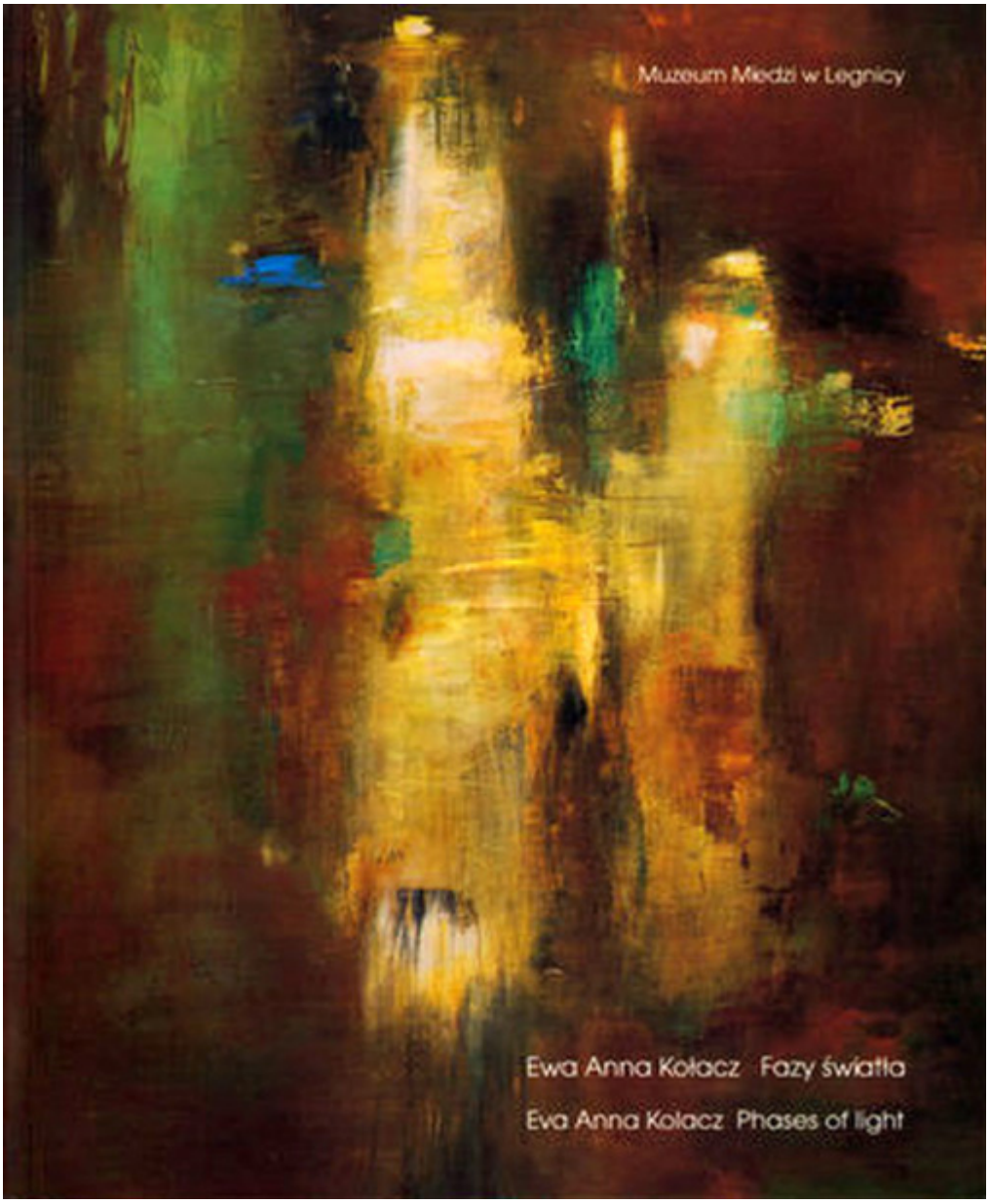
*a drugim*

*nocą a nocą*

*nie dotykać się*

*w obawie*

*że sen ten się skończy*



**Ewa Kołacz**

*Wciąż są*

*we mnie sny*

*o niebieskich powiekach*

*i źdźbła trawy*

*w nich*

*które rodzą chwile*

*to tu*

*zanurzam się cała*

*bo w śnie*

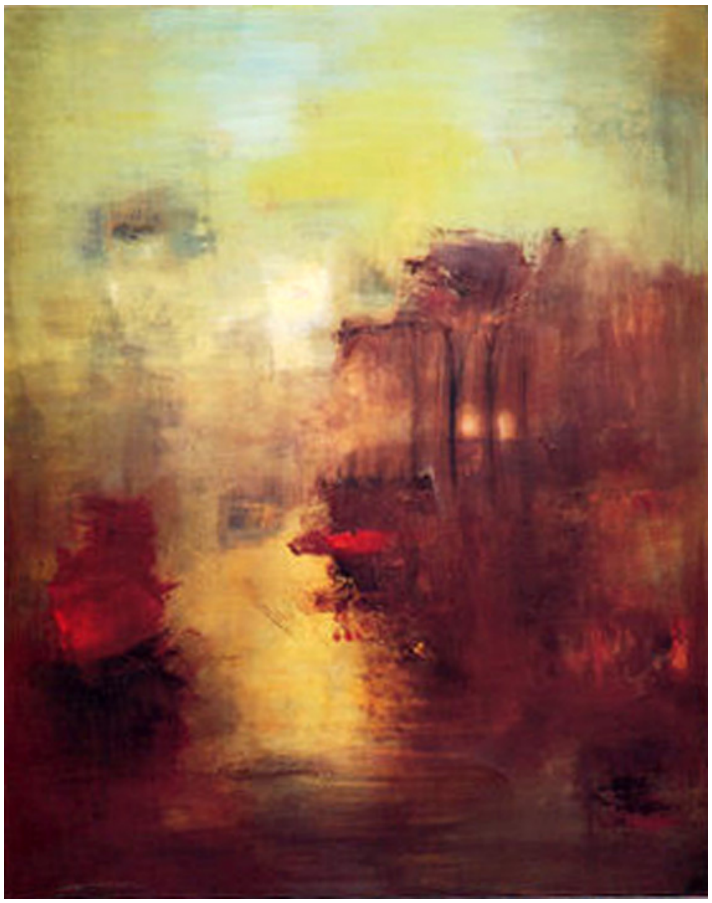
*prócz lęków*

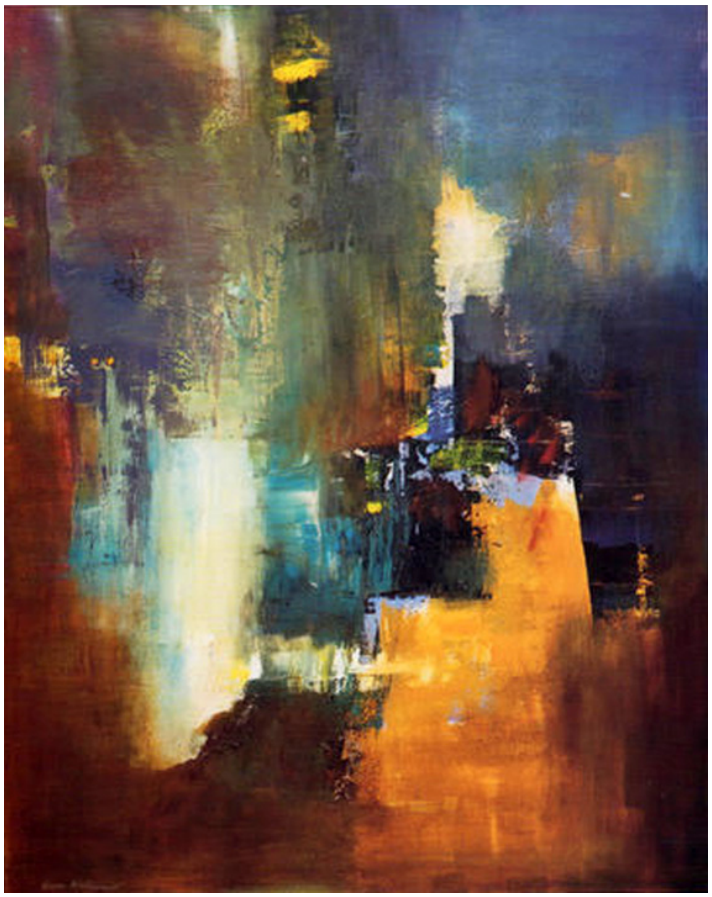
*nie ma*

*prawdziwego bólu*

Prace Ewy Kołacz z albumu „Fazy światła”













# Klarnecista

# z Auschwitz. Wojciech Gniatczyński (1924-1985).

**Florian Śmieja**



Wojciech Gniatczyński na zawodach lekkoatletycznych na Uniwersytecie w Cork.

Wojtka poznałem jesienią 1947 roku na studiach w Irlandii Południowej. Mieszkaliśmy w tej samej bursie, razem uczęszczaliśmy na wykłady, bywaliśmy w tych samych lokalach. Swoim uśmiechem i ujmującą nieśmiałością ten wysoki i

przystojny szatyn potrafił oczarować każdego. Widzę go jako człowieka schorowanego po przeżyciu obozu w Auschwitz i Dachau. To te ciężkie doświadczenia, pewny jestem, spowodowały także opory i wahania, które hamowały i ograniczyły jego twórczość literacką.

Już w irlandzkim mieście Cork wybijał się wśród kolegów wszechstronnym oczytaniem i pięknym, precyzyjnym językiem. Kochał muzykę i malarstwo. Pisał i przekładał z angielskiego i nie spieszył się z drukowaniem. Czekał na przychylniejsze czasy, które długo nie nadchodziły. Najpierw przeszkodę stanowiły niepewne warunki materialne, potem, niemożność opanowania choroby. Może nauczony cierpliwości, potrzebował większego dystansu do pisanych tekstów? Wiele lat później w ostatnim liście z Monachium w roku 1982 donosił, że lekarze wreszcie postawili właściwą diagnozę jego uciążliwej choroby płuc. Ufał, że wyzdrowieje, przejdzie na wcześniejszą emeryturę i będzie mógł w końcu swobodnie pisać i wydawać.

Będąc, jak zwykł był mówić, jednym z tych niepraktycznych młodych, którzy na obczyźnie poszli na studia humanistyczne, borykał się potem w Londynie z trudnościami nie mogąc znaleźć zatrudnienia. Od pracy fizycznej uchroniło go wydawnictwo Veritas, w którego pismach „Życie” i „Gazeta Niedzielna” pojawiły się pierwsze utwory Gniatczyńskiego w postaci artykułów publicystycznych, krytycznych i wierszy. Dzięki

animatorowi emigracyjnych debiutów w Londynie, poecie i poloniście Józefowi Bujnowskiemu, w 1954 roku ukazał się tom poezji Gniatczyńskiego „Próby” (Polskie Towarzystwo Literackie, Londyn), dziś prawie nieznany, bo nakład był niewielki, a autor nie zatroszczył się, by go szerzej rozprowadzić .

Te pierwsze wiersze pisane były we Włoszech, Irlandii i Londynie. Objawiają one poetę dyskretnego, delikatnego, nie celebrującego swojego dokonania. Charakteryzuje je melancholia i zaduma nad złożonością świata i ludzi. Gniatczyński już wtedy rozróżniał „Dym, znak życia. Dymiący komin to znaczy ciepło, kobieta przy piecu.” Ale znał również dym inny „Dym śmierdzący, żółty – z krematorium”. Poznał też i starał się wyrazić miłosną udrękę, mocował się z istotą Londynu, w którym usiłował się zadomowić. Wraz z Olgą Żeromską i Januszem Jasieńczykiem (Poray-Biernackim) mieszkał we wspólnym mieszkaniu-pracowni, zwanej kahałem.

Z sympatią przyglądał się wykluwaniu się pism młodych w latach pięćdziesiątych w Londynie. Nieco później w swoim liście z Monachium wspominał:

> …na pewno pamiętasz jakeśmy w Veritasie łamali pierwsze numery „Życia Akademickiego” – a ostatecznie to był praszczur obecnych „Kontynentów”. Pamiętam też, że sobie

> wtedy z trudem zapracowane 10 s. (szyligów – FS) odmówiłem, żeby kupić „dożywotnią” prenumeratę – hej, łza się w oku kręci!

Z wysokości swego doświadczenia dodał wtedy rzeczowo:

> Jedna sprawa która jest w moim przekonaniu najistotniejsza. Jakiekolwiek pismo literackie musi mieć pewien po prostu czysto zewnętrzny rozmiar. „Kontynenty” są za małe – cóż tam się zmieści? I dlatego wydaje mi się, że bez subsydium pismo nie może ujechać. Zresztą chełpienie się, że „my bez subsydium” jest zupełnie dziecinne. Dzisiaj nie ma na całym świecie ani jednego pisma literackiego bez subsydium. Może jedne „Wiadomości”, ale Grydzewski też na pewno skądś dostaje pieniądze, tylko ta sprawa nigdy jeszcze nie wypłynęła – *as far as I know*. Ostatecznie instytucje i ludzie z pieniędzmi po to są, żeby je wydawać na rozsądne cele. I tak było zawsze, zawsze sztuka etc. musiały mieć swoich mecenasów. Słowem jest to sprawa, nad którą powinieneś się poważnie zastanowić.

Kiedy zaofiarowano mu pracę w radiu, musiał opuścić  literackie środowisko Londynu, lecz również w Monachium wśród kolegów w pracy znalazł kongenialnych ludzi i ciekawych pisarzy jak

Tadeusz Nowakowski czy Czesław Straszewicz. Gniatczyński nie był pisarzem płodnym. Pisał szkice krytyczne, przekładał bez pośpiechu. Pamiętam, że dokonał przekładu sztuki irlandzkiego dramatopisarza J.M. Synge'a, tłumaczył Tomasza Moore'a, Shelleya, Eliota, Conrada. Wiersze drukował rzadko, najchętniej w „Wiadomościach", dlatego ubolewał, kiedy przestały w 1981 roku wychodzić.

Choć wyjechał z Anglii nadal życzliwie obserwował losy pism, z którymi współpracowałem. Nie znaczy to, by przyjmował wszystko za dobrą monetę. Znajdując się w samym środku walki ideologicznej i dysponując bogatą znajomością spraw obozu komunistycznego, wytykał w swoich listach naszą ślepotę i pochopne sądy. Nawiązując do obranej dla antologii naszej poezji metafory „ryby na piasku" napisał:

> Zawsze natomiast zarzucałem „rybom na piasku", że obojętnie płyną swoimi rzeczułkami, nie zważając na trzepotanie się w pobliżu innych rybek, złapanych w sieci przez totalistów. Czerniawski pisze, że Iwaniuk oskarża komunistów, a nie widzi niesprawiedliwości w Kanadzie. Przecież porównywanie jednego z drugim to wierutne głupstwo. No właśnie: to jest to czego nigdy nie rozumiałem.

Dla poezji Gniatczyński miał zawsze wysokie uznanie. Ideał

widział w poezji zwięzłej, używającej trafnego słowa, bez taniego nowatorstwa. W jej naturze spodziewał się wieloznaczności i niesprawdzalności w wyrażanej przez nią uczuciach. Nie łączył jej z intelektem, ale ze świadomością, a więc ze zjawiskiem niejasnym i zamazanym. Wedle niego poeta dobiera słowa do słów i nie należało go pytać o intencję, bo sam twórca bardzo szybko nie pamięta i nie rozpoznaje elementów autopsji i zmyślenia. Jego zdaniem, sam utwór sobie wystarcza i przedstawia sobą nową materię. Do wierszy politycznych podchodził z mniejszą konsekwencją. Raz ich nie uznawał twierdząc, że poezja jest zawsze „implicite" a nie „explicite", ale kiedy indziej chwalił funkcję upolitycznionych wierszy jako siłę mobilizującą duże rzesze odbiorców.

> Moim zdaniem – napisal kiedyś w liście – w poezji nie ma miejsca na słowa dziwne, na popisywanie się leksykonologiczne. Moim zdaniem, prawdziwa poezja to poezja najprostsza – ale nie tą kłamaną, rzekomą prostotą Kasprowicza, tylko prostotą Mickiewicza. Słowo „łzy" jest tak oklepane, że się od niego rzygać chce – ale przecie „Polały się łzy me…" – to właśnie poezja.



Wojciech Gniatczyński, fot. arch. Floriana Śmieji.

Tom „Wiersze dla Magdalenki” wydany po śmierci był drugą książką Gniatczyńskiego i nie obejmuje całej jego spuścizny poetyckiej. Nieomal wszystkie teksty, które zawiera, były wcześniej drukowane w czasopismach emigracyjnych, choć zebrane stały się łatwiej dostępne dla zainteresowanego czytelnika. Podzielone zostały na cykle: „Pejzaż z postaciami”,

„Dzieci”, „Wiersze krótkie”, „Czarne nagietki”, „Spostrzeżenia z morałem”. Towarzyszą im przekłady tak różnych poetów jak Janos Pilinszky, P.B. Shelley i Theodore Roethke.

Poeta mówi w nich o samotności, o znikomości rzeczy, o straconej miłości. Potrąca też strunę bolesną – do końca głęboko skrywane przed innymi przeżycia obozowe. Nie opowiadał o nich nigdy, ponoć dopiero na łożu śmierci wróciły w majakach. Być może Gniatczyński ocalił swe życie, bo grał na klarnecie w obozowej orkiestrze.

W wierszach, w których tę tematykę porusza, nie mówi jednak o sobie, mówi o dzieciach. Przypomniał ich tragedię przyrównując ich los do zagłady ufnych dzieci, które przed wiekami wyruszyły na krucjatę, z której już nie miały powrócić. I zapamiętał, że przyroda pozostała obojętna na to, co się dokoła działo. Stanowiła tło zarówno dla sielanki, jak i dla masakry. Była tylko częścią okrutnego czasu. Poeta napisał:

> A niebo było błękitne
>
> jak cyklon w komorze gazowej.

Tylko ironia i paradoks mogły towarzyszyć mu w wycieczce w krainę nieludzką zbrodniczej przemyślności zdeprawowanego człowieka:

> Ciężka na świecie zima
>
> polska.
>
> Na grudzie zeschnięte
>
> zielska.
>
> Tylko w komorze gazowej
>
> ciepło.
>
> Tylko w sercu człowieka
>
> piekło.

Lektura tej poezji, tak jak lektura każdego prawdziwego pisarza, zmusza do zastanowienia się nad wieloma pytaniami, które stawia (z pewnością nie są to wiersze tylko dla córeczki), każe też boleć nad losem całej twórczości Gniatczyńskiego, nie dokończonej i rozproszonej. I nie napisanej. Poeta, niewątpliwie

obdarzony talentem, nie zdołał napisać dzieł, których mogliśmy słusznie się po nim spodziewać. Zabrakło mu okresu spokoju, by mógł wylać na papier to wszystko, co go przez lata nurtowało i powoli dojrzewało. Musimy natomiast zebrać teksty wydane i rozproszone po czasopismach czy pozostające w rękopisie. Zachowując pamięć uroczego człowieka, nie zapominajmy o skompletowaniu jego twórczości, której jedynie cząstkę posiadamy.

---

# Nie wszystko umiera. 14. Millennium Docs Against Gravity Film

# Festival.

*Korespondencja z Polski*



Kadr z filmu „Dawson City. Świat zatrzymany”.

**Barbara Lekarczyk-Cisek**

## Co roku festiwal filmów dokumentalnych Millennium Docs

**Against Gravity Film Festival otwiera się na nowe doznania, uwrażliwia na problemy współczesnego świata, ale także niesie pociechę, że pomimo wszystko piękna i dobra nie da się unicestwić i że człowiek i to, co w nim najlepsze, trwa w sztuce, także w sztuce filmowej.**

W dniach od 12 do 21 maja 2017 r. odbył się największy w Europie festiwal filmów dokumentalnych: **Millennium Docs Against Gravity Film Festival**. W pięciu miastach: Warszawie, Wrocławiu, Gdyni, Bydgoszczy i Lublinie nie tylko zaprezentowano najnowsze dokumenty z różnych stron świata, ale odbyły się również debaty, spotkania z twórcami i dyskusje. A jeżeli ktoś miał jeszcze czas i energię, mógł po obejrzeniu kilku filmów popląsać w Klubie Festiwalowym CZUŁA JEST NOC i w ten sposób odreagować niezliczone problemy współczesnego świata.

## Nagrodzone filmy – „Ostatni w Aleppo" głównym triumfatorem



Kadr z filmu „Ostatni w Aleppo”

Jak co roku, jury w poszczególnych miastach wyłoniło najlepsze filmy. W tym roku werdykty zabrzmiały podobnie: w Warszawie zwycięskim dokumentem został film „**Ostatni w Aleppo**” (”Last Men in Aleppo”), w reżyserii **Ferasa Fayyada**, który we Wrocławiu otrzymał nagrodę specjalną za

> silny, radykalny, boleśnie prawdziwy głos, który powinni usłyszeć wszyscy; za wstrząsający dokument, pokazujący ludzkie okrucieństwo i odwagę, głupotę i szlachetność; za pokazanie tego, od czego najchętniej odwracamy oczy.

Film Fayyada otrzymał również główną nagrodę w Bydgoszczy, a ponadto Grand Prix – Nagrodę Banku Millennium i 8 tys. euro.

Trailer filmu:



Kadr z filmu „Dobry listonosz”.

Natomiast we Wrocławiu Grand Prix Dolnego Śląska Marszałka

Województwa Dolnośląskiego w wysokości 3 tys. euro przyznano filmowi „**Dobry listonosz” Tonislava Hristova.** Jury nagrodziło „Dobrego listonosza” za

> umiejętne zogniskowanie w jednym obrazie najważniejszych problemów współczesnego świata: niechęci do uchodźców, mechanizmów populizmu, wymierania wsi, arogancji władzy, starzejącego się społeczeństwa, ubóstwa, problemów przygranicznych społeczności. Jury doceniło wymiar krytyczny filmu, ale i jego doskonałą realizację w ramach gatunku, łączenie publicystyki z literacką przypowieścią, tonu anegdotycznego z realizmem.

Trailer filmu:

Ten sam film otrzymał na warszawskim festiwalu wyróżnienie *ex quo* z ”Safari” Ulricha Seidla.

Po raz pierwszy w tym roku festiwalowa publiczność miała

szansę wyróżnić swój ulubiony tytuł. Nagroda Czytelników pisma „Co Jest Grane 24”, którzy głosowali w Warszawie, Wrocławiu, Gdyni i Bydgoszczy wraz z dwoma tysiącami euro powędrowała do **Krzysztofa Pawła Bogocza** i **Marcina Macuka** za film „**Happy Olo – pogodna ballada o Olku Dobie**„.

Trailer filmu:

Spośród wielu obejrzanych filmów najmocniej przemówiły do mnie trzy: ”Chińskie van Goghi”, ”Dawson City. Świat zatrzymany” oraz ”Rumple. Jak Indianie zatrzęśli światem muzyki”. Choć nie zostały nagrodzone, (czego nie pojmuję), warte są uwagi i godne polecenia.

**”Chińskie van Goghi”, czyli jak zostać… człowiekiem**

Kadr z filmu „Chińskie van Goghi”.

Chińsko-holenderski film Haibo Yu i Kiki Tianqi Yu opowiada niecodzienną (dla nas, Europejczyków) historię. Otóż w 1989 roku pewien chiński biznesmen przekształcił niewielką robotniczą osadę Dafen w miejscowość… malarzy. Spośród mieszkańców biednych, sąsiadujących z nią wiosek, wybrał – początkowo niewielką – grupę osób, która miała zająć się malowaniem reprodukcji znanych malarzy. Ponieważ zamówień było coraz więcej, kopistów przybywało i obecnie  Dafen liczy dziesięć tysięcy mieszkańców.

Na filmie oglądamy setki wiszących na sznurach, jak bielizna, kopii znanych obrazów. Przypomina to bazar w Samarkandzie, tyle, że zamiast wschodnich gobelinów i dywanów wiszą autoportrety van Gogha albo jego ”Słoneczniki”…

Obserwujemy także życie kopistów i ich rodzin: w pracowniach pełnych farb i wiszących płócien toczy się ich codzienne życie. Tutaj spożywają posiłki, śpią, w pracowni rodzą się i dorastają dzieci… No i przede wszystkim malują, całymi rodzinami – aby sprostać zamówieniom. Czasami trzeba w krótkim czasie namalować około tysiąca obrazów, toteż pracują zespołowo od świtu do nocy. Pracodawca sprawdza jakość kopii, każe poprawiać i ostatecznie płaci jakieś niewielkie pieniądze, które ledwo wystarczają na skromne życie.

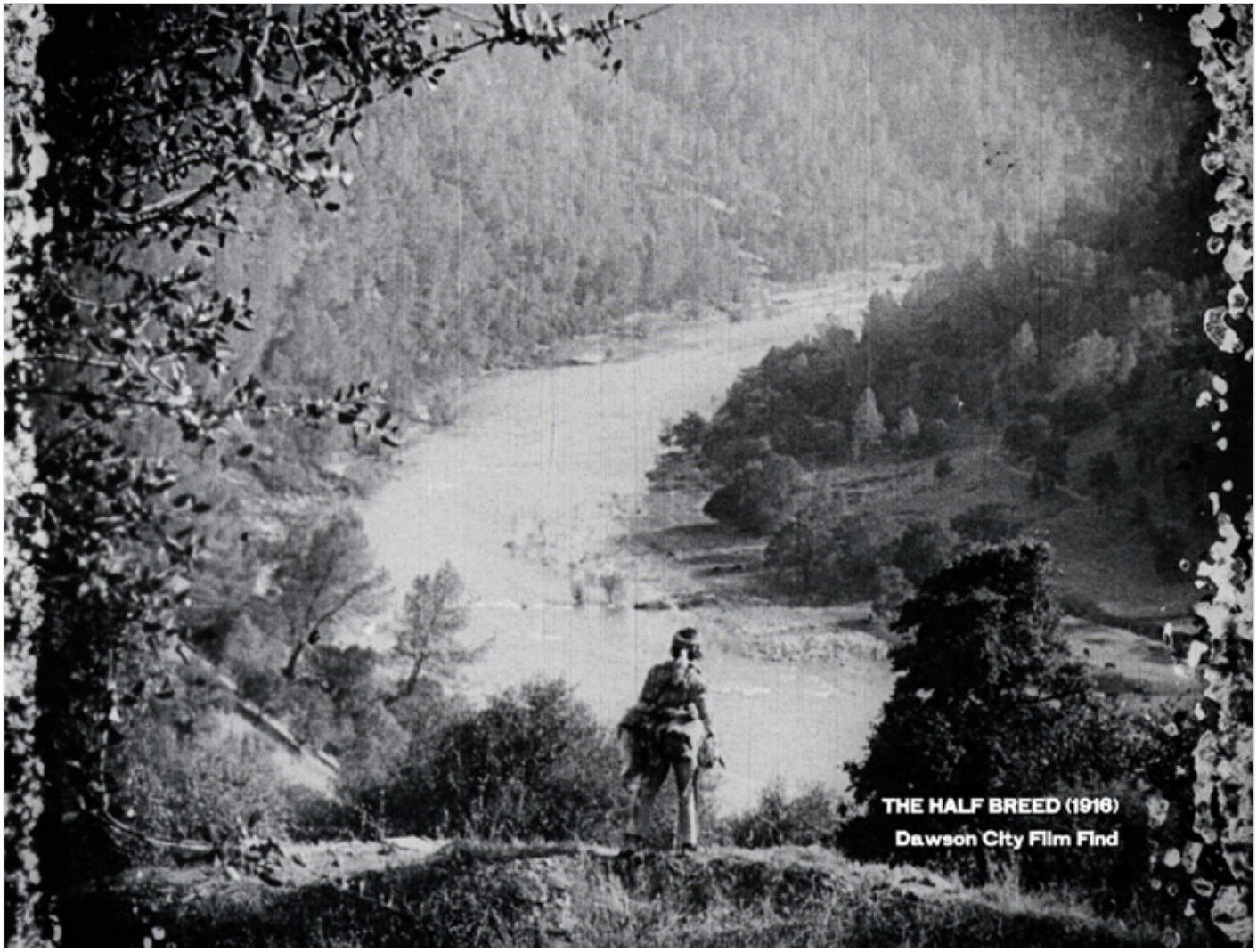
Główny bohater filmu – Xiaoyong Zhao  kopiuje obrazy od

dwudziestu lat, przeważnie prace van Gogha. Pochodzi z biednej wiejskiej rodziny – rodzice zmarli przedwcześnie, żyje jednak jeszcze jego wiekowa babcia, którą z rzadka odwiedza. Poniekąd miał szczęście, znajdując takie zatrudnienie, opanował szybko umiejętność kopiowania obrazów, a potem wprowadził w tajniki tego zawodu braci i żonę. Z czasem udało mu się otrzymać także zamówienia bezpośrednie, od holenderskiego biznesmena, bo – paradoksalnie – najwięcej kopii wysyłanych jest do Amsterdamu, gdzie znajduje się muzeum Vincenta van Gogha. Ponieważ Holender obiecał, że przyjmie go pod swój dach i ugości, byle tylko opłacił sobie podróż, Zhao zaczyna marzyć o wyprawie do Europy. Pragnie zobaczyć naocznie prace artysty, którego kopiuje całe swoje dorosłe życie. Poznaje także jego życiorys. Jest w filmie scena, w której wszyscy kopiści z tej pracowni oglądają z przejęciem film o van Goghu, z Kirkem Duglasem w roli głównej. Widzą, że także był biedny i nieszczęśliwy, że nie mógł sprzedać swoich obrazów i czują, jak jest im bliski. W końcu (sądzę, że przy wsparciu autorów filmu) naszemu bohaterowi udaje się spełnić swoje największe marzenie – leci do Holandii. Po przyjeździe wszystko okazuje się nowe i zupełnie inne, niż to sobie wyobrażał. Zdumiony dostrzega swoje kopie w niewielkim sklepiku z pamiątkami, bo jego holenderski przyjaciel wcale nie jest bogaty. Co więcej, kiedy zauważa, że ceny kopii są kilkusetkrotnie droższe od ceny, którą oferował mu ”biznesmen”, czuje się oszukany i sfrustrowany, ale stara się tego nie okazywać. Odwiedza nie tylko Muzeum van Gogha, ale również

jedzie na jego grób. Po powrocie opowiada o swojej wizycie w Muzeum van Gogha i niewiele ma to wspólnego z rzeczywistością. W swojej opowieści Zhao jest pełnym godności, uznanym kopistą. Jednakże najważniejsza w tym filmie nie jest sama anegdota o biednym chińskim malarzu niezliczonych kopii znanych obrazów. Otóż pod wpływem tego doświadczenia budzi się w nim ludzka podmiotowość. Odtąd pragnie nie tylko kopiować, ale także malować własne dzieła. W tym celu udaje się do rodzinnej wioski i robi portret babci, a potem maluje pejzaż, w którym wzrastał. Kiedy to robi, ktoś mijający go dziwi się, czemu po prostu nie zrobi zdjęcia, ale on uśmiecha się tajemniczo i mówi, że to nie to samo… Także on nie jest już taki sam. Film piękny, bo ukazujący, jak w człowieku sprowadzonym do poziomu mrówki budzi się godność i podmiotowość. A dzieje się tak pod wpływem sztuki…

Trailer filmu:

**”Dawson City. Świat zatrzymany” na taśmie filmowej.**




Kadr z filmu „Dawson City. Świat zatrzymany”.

Film **Billa Morrisona** jest niezwykły nie tylko w uwagi na to, że ma cechy filozoficzno-społecznego eseju, ale także dlatego, że cały jest „utkany” z archiwaliów. Reżyser i producent zdobył już uznanie w świecie jako eksperymentator i twórca dokumentów, posługujący się metodą *fund footage,* polegającą na twórczym wykorzystaniu już istniejących materiałów filmowych innych autorów. W Polsce taki filmy zrobił Maciej J. Drygas: ”Jeden dzień w PRL” czy ”Cudze listy”. I są one znakomite.

Bill Morrison opowiada w swoim filmie historię Dawson City – miasta powstałego podczas tzw. gorączki złota, ale jest to zarazem meta-opowieść o historii kina i o powstaniu Ameryki. Dawson City było początkowo skromną osadą, położoną nad kanadyjską rzeką Jukon. Najpierw zostają z niej wyparci autochtoni, a następnie, w ciągu dwóch lat, liczba mieszkańców osiąga liczbę 40 tysięcy. Przewinęło się przez nią setki ludzi, którzy odegrali potem znaczącą rolę w dziejach popkultury, biznesu i polityki. Ponieważ – w przeciwieństwie do Chińczyków – Amerykanie nie chcą tylko pracować, ale pragną się zabawić, powstają w mieście kinoteatry, które cieszą się wielką popularnością. Kopie filmowe są po seansie składowane w banku (który jest za nie odpowiedzialny), ponieważ przy takich odległościach wysyłanie ich byłoby zbyt kosztowne. Ostatecznie nikt o nie nie dba, składować ich już nie ma gdzie, toteż część zostanie zniszczona, wyrzucona, spalona lub zatopiona. Po latach, w 1972 roku, kiedy zmienne losy miasteczka sprawiły, że kinoteatry przestały istnieć, pewien człowiek odnalazł przypadkiem zakopane taśmy. Blisko 500 filmów trafiło wówczas do kanadyjskich i amerykańskich archiwów i po dziś dzień służą jako nieocenione źródło wiedzy o epoce. W miasteczku, które powstało na skutek ”gorączki złota” i gdzie złoża tego cennego kruszcu dawno przestały istnieć, a kopalnie jedynie dokonały ostatecznie dzieła zniszczenia pięknego niegdyś krajobrazu, otóż w tym właśnie miejscu wykopano coś bardziej cennego: zapis ludzkich historii oraz unikalne filmy fabularne, których kopie

nigdzie indziej się nie zachowały.

Film Billa Morissona jest jednocześnie hołdem dla całej epoki kina niemego. Pojawiają się w nim postacie Chaplina i Arbuckle'a, a także dziesiątki bezimiennych dziś gwiazd. Możemy także zobaczyć, jak tworzyła się tamta rzeczywistość, jak wyglądały trudy pionierskiego życia i jak niezwykła była energia ludzi, którzy wciąż odbudowywali Dawson po kolejnych pożarach. Świat zatrzymany na taśmie filmowej – piękne, poruszające, dające do myślenia kino.

Trailer filmu:

**"Rumple. Jak Indianie zatrzęśli światem muzyki"**

Wielkie wrażenie zrobił na mnie także kanadyjski film **Catherine Bainbridge i Alfonso Maiorana**, przywracający zbiorowej pamięci wyparty z oficjalnej historii fakt, że to Indianie, a nie – jak dotąd sądzono – Afroamerykanie są twórcami bluesa i jazzu. Sam tytuł filmu pochodzi od charakterystycznego sposobu grania akordów przez Linka Wraya, który dla wielu rockmenów stał się kamieniem milowym rozwoju tego gatunku. Otóż Wray był Indianinem z plemienia Szaunisów. Film uświadamia, że to

Indianie stworzyli amerykańską muzykę, poczynając od ojca bluesa z Delty – Charleya Pattona, przez królową swingu Mildred Bailey, po legendy rocka: Jimiego Hendrixa i Jesse Ed Davisa, a także Taboo, członka popowego Black Eyed Peas.



Kadr z filmu z Catherine Bainbridge

O tym, że współcześni Indianie odzyskują świadomość swoich korzeni, a także uzasadnione przekonanie o swoim wpływie na kulturę muzyczną Ameryki, świadczą nie tylko wypowiedzi historyków muzyki, ale może przede wszystkim kobiety, które – ubrane w tradycyjne stroje – śpiewają stare pieśni i wykonują je na tradycyjnych instrumentach. Potrafią też rozpoznać indiański

śpiew na płycie Charleya Pattona i w muzyce współczesnych wykonawców. Pięknie mówią o źródłach tej muzyki, która czerpie z krajobrazu – szumu drzew, śpiewu ptaków…

Poza urodą tej muzyki, film nie tylko zmienia obiegowe poglądy, jakoby korzenie bluesa tkwiły w folklorze przybyszów z Afryki. Ci zresztą przemieszali się z ludnością rezerwatów, jak to było w przypadku ojca bluesa – Charlie Pattona. Budujące jest także ukryte przesłanie filmu, mówiące o tym, że kultura Indian nie tylko przetrwała, ale także dała początek i inspirację współczesnym gatunkom muzycznym. Nic nie umiera, rękopisy nie płoną…

Trailer filmu:

---

# W Londynie zaczęło

# się moje życie pisarza emigracyjnego

**Z poetką Anną Frajlich, laureatką nagrody Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie za całokształt twórczości w 2016 r., rozmawia Katarzyna Bzowska.**



Anna Frajlich, fot. Krzysztof Dubiel

**Katarzyna Bzowska:**

Od ponad 40 lat mieszka Panie w Stanach Zjednoczonych, ale debiutowała Pani w Londynie w 1976 r. w Oficynie Stanisława Gliwy. Kilka tomików poezji ukazało się w londyskiej Oficynie Poetów i Malarzy. Publikowała też Pani w „Wiadomościach”. Jak

doszło do tej współpracy przez ocean?

**Anna Frajlich:**

Debiutowałam w prasie w Polsce w 1958 roku i będąc jeszcze w liceum w Szczecinie dostałam w tym swoim mieście pierwszą nagrodę literacką. W Polsce publikowałam w róznych pismach niszowych. Tuż przed wyjazdem z Polski w 1969 roku złożyłam tomik w wydawnictwie, ale wyjechaliśmy, a że była to emigracja polityczna, to oczywiście książka nie mogła się ukazać.

Trauma wygnania pogłębiła moje doświadczenia pisarskie. Nawiązanie kontaktu z „Wiadomościami", najważniejszym wówczas pismem literackim na emigracji, było naturalną rzeczą. To ustawiało autora w środowisku emigracji polskiej na całym świecie. Jak doszło do tego? W sposób jak najbardziej zadziwiający – wysłałam wiersze i dostałam niemal entuzjastyczną odpowiedź.

W świecie rządzonym kontaktami i znajomościami wydaje się to mało prawdopodobne, ale takie były „Wiadomości" i taka była Stefania Kossowska. Po kilku wierszach wydrukowanych w „Wiadomościach" miałam wiele

drzwi otwartych. Stąd współpraca z pismami w Stanach – z „Przeglądem Polskim”, „Tygodnikiem Nowojorskim”, a także z „Kulturą” paryską. To mnie nawet w pewnym sensie doprowadziło do doktoratu.

Cztery moje pierwsze tomiki wyszły w emigracyjnych oficynach: u Stanisława Gliwy (*Aby wiatr namalować*, 1976), w Oficynie Poetów i Malarzy (*Tylko ziemia*, 1979; *Który las*, 1986) oraz w amerykańskiej oficynie Stanisława Piaskowskiego Sigma Press (Indian Summer, 1982).

W Londynie spotkałam także Bronisława Przyłuskiego i Tymona Terleckiego.
To były dla mnie ważne spotkania i rozmowy. Wyjeżdżając z kraju myślałam, że moje życie się skończyło, dzięki „Wiadomościom” i temu, że Stany są krajem otwartym, ono się dopiero zaczęło. W *Rozmowach ze Stanisławem Gliwą* Mai Elżbiety Cybulskiej oraz w *Definicji szczęścia* Stefanii Kossowskiej można przeczytać wiele na ten temat.

**KB:** Przyjechała Pani do Londynu, by odebrać nagrodę Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, przyznaną za całokształt twórczości. Jest pani laureatką innych nagród przyznawanych przez fundacje działające poza Polską – Kościelskich oraz Władysława i Nelli Turzańskich.

Jakie znaczenie ma dla Pani ta londyńska nagroda w porównaniu z tymi dwiema wymienionymi?

**AF:**
Londyńska nagroda ma dla mnie ogromne znaczenie, dlatego że jest londyńska właśnie, bo jest związana z miejscem, w którym – jak powiedziałam – zaczęło się moje życie pisarza emigracyjnego. W Londynie ukazała się moja pierwsza książka, w Londynie Stanisław Baliński ogłosił pierwszą recenzję. Byłam kilka razy w Londynie, gdzie miałam wieczory autorskie (w Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie także), spotkałam tam paru pisarzy emigracyjnych.

Cenię sobie nadzwyczaj fakt, że po dziesięcioleciach mój dorobek został doceniony właśnie tu. Nie wiem, czy porównywanie tych nagród jest możliwe. Jestem wdzięczna losowi i wszystkim trzem fundacjom za docenienie mej pracy na każdym z tych etapów. Dla pisarza na emigracji, który przeważnie funkcjonuje w oderwaniu od środowisk literackich każda taka nagroda jest oznaką, że jego głos dociera do ludzi, którym poezja jest potrzebna. Nagroda Kościelskich przeznaczona dla młodych pisarzy, bardzo ceniona do dziś dnia, była dla mnie ogromną podporą i zastrzykiem optymizmu. Niestety, nie stać mnie było wówczas na podróż do Szwajcarii, bo

podróż przekroczyłaby koszty samej nagrody. Ale dzięki tej nagrodzie mogłam wydać następną książkę, no i pozostaje ona na zawsze w moim życiorysie.

Nadzwyczaj cenię sobie nagrodę Fundacji im. Turzańskich. Ze środowiskiem w Toronto byłam i pozostaję w bliskich kontaktach, bywałam tam służbowo jako korespondent Wolnej Europy. W owym czasie robiłam wywiady z Wacławem Iwaniukiem i Bohdanem Czaykowskim. Jeździłam też z odczytami i spotkaniami autorskimi, byłam i jestem zaprzyjaźniona z pisarzami z Kanady ze starszej i młodszej generacji: Wacławem Iwaniukiem, Florianem Śmieją, Tamarą Trojanowską, Markiem Kusibą, Edwardem Zymanem. Miałam nawet zaszczyt spotkać samą panią Turzańską. Do dziś jestem im wdzięczna za uznanie i zaszczyt.

Nagroda londyńska za całokształt twórczości jest ukoronowaniem, świadczy też, że widocznie nie zawiodłam moich czytelników i instytucji, które wcześniej doceniły moje wysiłki. I jak zaznaczyłam, ma to dla mnie ogromne uczuciowe i symboliczne znaczenie.

**KB:**
Pisze Pani zarówno wiersze, jak również krótkie formy literackie prozą, jak choćby wydane w serii

„Piętnastka” tomik opowiadań „Laboratorium”, no i jest Pani autorką esejów literackich. Która z tych form twórczości jest pani najbliższa? Co – jako twórcy – przychodzi Pani najtrudniej?

**AF:** Wiersze zaczęłam pisać już w dzieciństwie i już we wczesnej młodości zaczęłam je publikować. Wiersze są dane.

Jak zwykł mówić Miłosz, dyktuje je Dajmonion. Jak wspomniałam już wcześniej, trauma wygnania niewątpliwie pogłębiła moją percepcję rzeczywistości, co wpłynęło i na poezję. Natomiast proza, artykuły i eseje wymagają nie tylko inspiracji, zdolności, ale i wiedzy, badań oraz samokontroli. Niemniej jednak te sprawy wiążą się ze sobą.

Do pisania prac naukowych czy nawet esejów konieczny jest czas, którego pisarz na emigracji ma niewiele, bo musi najczęściej w innym zawodzie zarabiać na życie. Ale ponieważ  i zawodowo jestem literaturoznawcą, więc staram się wypowiadać na różne sposoby. Czasem lektury potrzebne do prac naukowych mogą stać się inspiracją do wiersza. Ale wiersze zdecydowanie przychodzą same. Nigdy w życiu nie siadałam do biurka z decyzją, że dziś muszę napisać wiersz. Przeciwnie, kiedy wiersz przychodził, często szukałam nerwowo

kawałka papieru i czegoś do pisania.

Co przychodzi najtrudniej? – trudno jest odpowiedzieć na to pytanie, do pisania artykułu można się zmusić, do pisania wiersza – chyba nie.




Wręczenie nagrody Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Anna Frajlich i prezes Związku Andrzej Krzeczunowicz.

**KB**:
Współpracuje Pani z pismami literackimi wydawanymi w Polsce. Jak ocenia Pani polskie pisma literackie,

których z roku na rok jest coraz mniej? Czym różnią się one od podobnych pism amerykańskich? Czy mają one przyszłość w konkurencji z internetem, gdzie znacznie łatwiej i szybciej można zamieścić polemiki, krytyki i własną twórczość? Podobno współczesny pisarz „musi" mieć swój blog, bo inaczej się nie liczy. Czy Pani także zamieszcza swoje utwory w internecie?

**AF:** Z pismami wydawanymi w Polsce współpracuję od ponad dwudziestu lat; jestem na listach stałych współpracowników lubelskiego „Akcentu", szczecińskiego „eleWatora", a przedtem szczecińskich „Pograniczy", współpracuję też z kwartalnikiem „Migotania" i „Kontekstami Kultury", od czasu do czasu zamieszczam wiersze lub inne teksty w „Kwartalniku Artystycznym".

Sytuacja polskich pism literackich jest podobna do pism amerykańskich w tym sensie, że są to w większości pisma niszowe, z małym poparciem finansowym. W Stanach, jak i obecnie w Polsce istnieje decentralizacja. Ale jak i w Polsce, tak i w Stanach te pisma otrzymują jakąś pomoc, powstają często przy uniwersytetach. Są to pisma istniejące z potrzeby zarówno czytających jak i piszących. Każde z nich wnosi bardzo wiele do wiedzy o kulturze, wzbogaca nas wszystkich. Kiedy dostaję takie pismo,

czytam z wielkim zainteresowaniem i wiele się uczę. Mam nadzieję, że się utrzymają, co nie znaczy, że będą w stanie utrzymać autorów. Autorzy, jak w każdym kraju wolnego rynku, muszą się jakoś sami utrzymać.

Z pism amerykańskich prenumeruję i czytam w miarę możliwości czasowych kilka najbardziej znanych, głównie z dziedziny kultury polskiej (na przykład „The Polish Review") i slawistyki.

Naturalnie, że istnieje zagrożenie ze strony internetu. Boją się te j konkurencji największe dzienniki i tygodniki. Mam nadzieję, że przetrwa pismo drukowane. Współczesne tablety przypominają mi trochę starożytne tabliczki woskowe. Internet jest szybszy, ale jest tam za dużo szumu informacyjnego, za mało głębi. Blogu nie prowadzę jak dotychczas. Sama nie zamieszczam w pismach internetowych, ale jak ktoś zwraca się do mnie z prośbą o zamieszczenie mojego wiersza, nie odmiawiam. Znajduję tam czasem swoje wiersze pięknie ilustrowane, nawet nie wiem, skąd się tam wzięły i wdzięczna jestem tym, którzy je zamieścili.

**KB:**
Od wielu lat jest Pani wykładowcą uniwersyteckim. Czy ameryka ńska młodzież interesuje się poezją,

literaturą, a bardziej szczegółowo – czy cokolwiek wie o polskiej poezji i literaturze?

**AF:** Trudno mi mówić o amerykańskiej młodzieży jako takiej. Ja uczę na jednym z najlepszych uniwersytetów i mam do czynienia z młodzieżą, która się interesuje literaturą. Innych nie spotykam, bo do mnie nie przychodzą. Ale widzę, że mój wnuk, który jest jeszcze na poziomie gimnazjum, czyta bardzo poważne lektury, uczą go analizować, porównywać. Wszyscy studenci na Columbia University muszą, niezależnie od kierunku, zaliczyć literaturę antyczną i współczesną.

Uczę języka i literatury. Na lektoraty z języka polskiego zapisują się studenci, którzy chcą dla jakiś celów zaliczyć ten język, albo jako wymagany język obcy, albo dlatego, że specjalizują się w historii Polski czy Wschodniej Europy, w historii Żydów, lub chcą studiować polską literaturę. Muszę powiedzieć, że większość moich studentów przeszła wszelkie moje oczekiwania, wielu z nich jest obecnie profesorami, czy też specjalistami w różnych dziedzinach. Nawet jeżeli nic nie wiedzieli przedtem o polskiej literaturze, do lektur wnoszą swoją wiedzę z innych dziedzin. Potrafią w analizowanym tekście odnaleźć takie elementy, o których nawet polonistom się nie śniło i to zarówno w poezji Mickiewicza, prozie Norwida, jak i w powieściach okresu międzywojennego

czy post-zależnościowego.

Nie mówię, że przedstawiam tu obraz całej młodzieży amerykańskiej, ale praca ze studentami, z którymi się zetknęłam w ciągu ponad trzydziestu lat na Columbii, dała mi wiele satysfakcji i wiele mnie nauczyła. Przede wszystkim, że należy wystrzegać się stereotypów w ocenie jakiejkolwiek grupy.

_____

*„Tydzień Polski", Londyn, 14 marca 2016 r.*

**Od redakcji:** W maju 2017 roku Anna Frajlich została wyróżniona statuetką „Wybitnego Polaka w USA". Uroczystość wręczenia statuetki miała miejsce w Konsulacie Rzeczpospolitej Polskiej w Nowym Jorku.

http://www.dziennik.com/wiadomosci/artykul/znamy--tegorocznych-wybitnych-polakow-w-usa
http://poland.us/strona,20,26939,0,ny-wyroznienia-w--konkursie-wybitny-polak-w-usa-zostaly-przyznane.html
http://www.nowyjork.msz.gov.pl/en/news/celebration_of_the_-

constitution_day_at_the_consulate_general_of_the_-republic_of_poland_in_new_york